Nro 10.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 4 marca 1848. Rok dziewiąty.

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincii chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyższych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr. kwartalnie 24 kr. Z prowincii można nadsyłać pocztą należytość prenumeraty pod adresem redakcii Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcia ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosii prenumerata składa się na pocztach.

MODY.

Z Paryża, dnia 22 lutego 1848.

Z wielką przyjemnością oznajmiamy naszym czytelniczkom, że suknia krótka odniosła zwycięstwo nad długą, i że trzewik wielką rolę teraz odgrywa. Widzieliśmy także kilka sukień z najpierwszych pracowni nadzwyczaj pięknie przystrojone, i spieszymy z opisaniem: Suknia balowa jasnorożowa adamaszkowa, ubrana nakształt fartuszka koronką w zygzak upiętą i wstążką różową atłasową, stanik gładki, wycięty, z przodu otwarty, z podwójną bertą koronkową, z przodu nakształt wyłogów sięgających do dołu stanika, rękawki bardzo krótkie, ubrane we dwa rzędy koronek; pierwszy rząd zakrywa cały rękaw, a drugi wisi nakształt mankietka; szlak aksamitny różowy, obszyty koronką jak przy sukni, okręcony około głowy. Suknia atłasowa jasnozielona, z drugą spodnicą tego samego koloru, spadającą poniżej kolan, obszytą bufkami krepowemi, w sposób fartuszka, i podpiętą fontaziami z zielonej atłasowej wstążki; stanik wycięty, kończasty, z bertą w fałdy układaną i podpiętą trzema fontaziami. Ubranie głowy z gazy srebrnej i wstążki różowej. Suknia z indyjskiego muszlinu, obszyta dziewięcioma falbanami dzierganemi, zakrywającemi spodnicę po same biodra; stanik gładki, wycięty, z bertą z trzech falban dzierganych złożoną. Ubranie głowy aksamitne pąsowe z złotemi frędzlami, spadające na ramiona. Suknia blondynowa o dwu spodnicach na rożowej atłasowej spodnicy, druga spodnica podpięta od stanika z każdej strony szeroką wstążką różową atłasową i zakończona bukietem róż z liśćmi srebrnemi; stanik wycięty, marszczony od ramion do połowy stanika, przystrojony bukietem róż. Na głowie takie same kwiaty jak przy sukni. Narzutka aksamitna jasnoniebieska, marszczona trochę z tyłu w stanie i spinana z przodu jedwabnemi pętlicami, wyłożona naokoło sobolami, rękawy długie, szerokie, z wyłogami sobolowemi. Dodać tu musimy, że wszystkie te suknie już znacznie są krótsze.

Rycina przedstawia: Suknią półżałobną z popielatego pekinu, spodnica gładka, stanik gładki, na ramiona zachodzący i otwarty z przodu do połowy stanika, rękawy gładkie. Narzutka aksamitna czarna, spadająca poniżej bioder, z przodu całkiem spięta i obszyta dokoła bardzo szeroką koronką, rękawy szerokie po łokieć, także szeroką koronką obszyte, zarękawek sobolowy, podszyty popielatym atłasem; kapotka popielata atłasowa, koło twarzy zaokrąglona i ubrana pod spodem bufką z tiulu popielatego i bukietem kwiatów popielatych z boku przypiętym. Suknia z czarnego sukienka, spodnica spięta cała guzikami jedwabnemi, stanik gładki, wysoko zachodzący, spięty na guziki przez całą długość, z dwoma małemi końcami, rękawy gładkie, mankietki w trzy rzędy koronek; czepeczek mały okrągły, dwa razy koronką obszyty zachodzącą jedna na drugą, i ubrany wstążką popielatą.

Powieściarstwo polskie,

przez Leszka Dunina - Borkowskiego.

III.

Wracajmy do XVI. wieku, aby obaczyć jak wydawanie powieści w mowie polskiej nietylko mnożyło czytających ale i do pisania podżegało. Najprzód zwraca uwagę naszą Mikołaj Rej, któryby najpodobniej wcale nie pisał, gdyby już nie była wyokazana możność i potrzeba książek w ojczystym języku. Duch jego samorodny i czynny nie dawał się spowijać w obce paski, buntował się w obcych formach, trzeba go by-

ło znękać i przytłumić, aby się poddał jakiej obcej władzy, to jest mowie. Rej nie umiał pisać tylko po polsku, nie byłby zatem został pisarzem, gdyby wprzód nie usunięto uczonego przesądu pisania książek po łacinie. Żył on w czasach najżarliwszych u nas sporów religijnych. Ustawicznie odnoszono się do biblii, wszystkie odszczepieństwa zasadzały się na niej. Wertował też ją i Rej przygnieciony koniecznościami wieku, bo nie rad oddawał swój rozsądek pod rozstrzygnienie jakiej bądź powagi, jako sam pięknie naucza: „Nie chowajże też tego rozumu, jeźlić go pan bóg dał, jako czyża w klatce, ale się staraj, abyć zakwitnął pięknemi sprawami twojemi.“ Uczoności przyznać mu nie można; ale to właśnie nadało mu korzystną wyłączność bo nie zamykał się w teoriach, nie zaprzedawał się w niewolę erudycyi, nie żył dla książek, ale pisał książki dla życia, dla każdej wiedzy swojej żądał praktycznego zastosowania. On nam odsłonił pierwszą kopalnię fantastyczności chrześciańskiej *Apokalipsis.* Powiastki jego z podań hebrajskich: Żywot i sprawy Józefa patryarchy, księgi o potopie Noego, są co do układu bardzo pojedyncze. Po prostu sąto opowiadania biblijne, rozwleczone domysłami wyobraźni i moralnem rozpatrywaniem. Również: Rozmowy wójta z panem i księdzem plebanem, Zatargnienia fortuny z cnotą, Rozmowy Kostery z pijanicą, Warwasa z Dykasem, kiedy co do budowy nie mają wyrobionego lica, kiedy pod względem artystycznym są w pieluszkowem niemowlęctwie, to natomiast objawiają najwyraźniejsze dążności, bo autor usiłował przedewszystkiem uczynić księgi swoje, jak sam powiada: „dzisiejszym czasom bardzo potrzebne a pożyteczne.“ Mimo podeszłego wieku, który sprawia mróz myśli i zwątpienia, mimo wewnętrznych krajowych rozterków, dla których zdało mu się, że nadchodzą wieki podejrzane, że Rzp. zawikłana i snać ku gniewowi pańskiemu nakłoniona, jednak nie tracił nadziei przyszłości i dla niej dopiero ochoczo wszystkie siły trudził. Czuł, że filozofia i historia i tym podobne umiejętności nie kończą się same w sobie, że powinne być podstawą wniosków na teraźniejszość i przyszłość. Jakoż pisze do Olbrychta Łaskiego: „abyś przypatrował rzeczy przyszłe, boć już te co przeminęły mało się nam w co przygodzić mogą. Abyś temu swemu wiekowi darmo upływać dać nie raczył, gdyż widzisz czasy przyszłe żeć o płatne idą, abyś się wzdy zdaleka starał.“ Z tego względu prace literackie Reja są dla nas ważne. To oderwanie nauki od spylonych pułek księgarskich, to nawrócenie ducha do oddziaływania na źródło, z którego wyszedł, na życie, skłoniło do rozmyślania nad życiem powszednim, odtrąconem przez dotychczasową uczoność. Taki zwrot myśli obok powieści jakie już były, to tłumaczone, to z pisma świętego, prowadził wprost do powieści obyczajowej, do powieści z życia domowego, z życia narodowego. Rej przygotował do tego obfite materiały w Źwierciedle, czyli Żywocie poczciwego człowieka. Pod człowiekiem rozumiał oczywiście szlachcica; a przecież obwiniano go o wolnomyślność. W rozwijaniu politycznem naszego narodu prędko wyrobił sobie stan wojskowy, rycerski, osobną udzielność; przez co wyłączył się i odróżnił od gminu całem życiem, zatrudnieniami, strojem, zwyczajami, stopniem oświaty i przywłaszczeniem władzy narodowej. Otoż Rej podaje nam w Źwierciedle najwierniejszy obraz tego ruchliwego żywiołu. Mamy tam dokładną historią domowego życia poczciwych ludzi w owych wiekach mierzchniejących. Autor przeprowadza ich od kolebki aż do deski grobowej, nauczając wszędzie jakimi być mają, jakimi nie. Ztąd wywiązuje się przygana wad i nawyknień narodowych, grubych obyczajów, a nawet obrzydliwych niechlujstw. Obok tego oddane są najdrobniejsze szczegóły zatrudnień i zabaw, opisane gospodarstwo, handel i rząd, opisane małżeństwa i pobudki z jakich się kojarzyły i jak się w nich wiodło, opisane stroje, pojazdy, rzędy, broń, biesiady, sąsiedztwa, odwidziny, a nawet stosunki jegomości z wójtową a jejmości z wójtem. Chociaż Rej zwykł nazywać się skromnie prostaczkiem, to lubi popisywać się z erudycyą, którą pochwytał na prędce i bez ładu to z dziejów, to z mitologii, to z astrologii, to z guseł ludu itd. Przeto w dziełach jego okazuje się wydatnie różność uczoności od rozumu. Kiedy występuje z uczonością i podaje sąd swój w pęta historycznych przykładów jest zawsze śmieszny, często niedorzeczny; kiedy zaś niepodlegle prostym a zdrowym rozsądkiem szermuje jest poważny i nauczający. Bo uczoność zmienia się według czasów, a rozum jest jeden. Bo rozum zawsze uczy, a uczoność często psuje naukę. Bo rozum zawsze oświeca, a uczoność często ćwiekiem jest w głowie. Bo rozum opiera się na przekonaniu, a uczoność często na powagach. Kwitł u nas wiek zygmuntowski pod względem naukowości, ale pod względem rozpowszechnienia nauk w narodzie, pod względem oświaty stał jeszcze nisko. Dopiero z użyciem mowy polskiej w literaturze i z wyjarzmianiem ducha w sporach różnowierców poczęła się u nas oświata. Powracająca z zagranicy młodzież wpływała na ogładę domowych szorstkości, budziła opowiadaniami ciekawość do książek, okrzesywała postępki społeczne i zachęcała powoli do ponętniejszych zajęć, jak mówiąc słowami Reja: „skubanie łba, łupienie paznokci a kufel śmierdzący.“ Nie naraz i nie bez oporu ustępowały stare, często dzikie zwyczaje pod ową przychodnią ogładą. Krzewicieli jej nazywano szyderczo Włoszkami i Niemczykami. Lecz zdrowy Reja rozsądek nie chciał, aby pod pozorem poważania ojczystych obyczajów uwieczniać gburowatość i prostactwo; uj-

mował się on za wznowieniami, bo widział podobieństwo pogodzenia rzeczy ojczystych z tem co było gdzie indziej rozsądne, użyteczne i zalecające. Po tylu obiecujących zarodach w literaturze, po zwrocie, jaki Rej nadał narodowemu duchowi, zdawało się, że oświata wszystko ogarnie, że główny jej organ powieść, będzie rozwijać się nadal z żywiołów miejscowych i w rychle zakwitnie. Tymczasem stało się przeciwnie. Literatura coraz widoczniej kłoniła się ku upadkowi, brakowało jej podsycenia, bledniała i więdła, jak zieleniejący zasiew wiosenny, kiedy go zwarzy mróz niespodziany. Przewidywał Rej duchem proroczym, że Rzp. była ku gniewowi bożemu nakłoniona. Na trzydzieści pięć lat przed wiekiem XVII. sprowadziła do nas wsteczna gorliwość nowych nauczycieli, którzy owładali uczelnie jedne po drugich, podstępami, pochlebstwami, matactwami i nareście tą głupotą, którą sami rozsieli. Swobodne rozmaganie ducha ludzkiego nazwali herezyą, więc spotwarzyli Reja i pisma jego potępili. Kolegia ich były moralnemi więzieniami. Zakuwano w nich duszę w kajdany, aby stąpała nieśmiało, aby nie używała po woli wszystkich władz swoich, tylko te, które im łaska dozorców kaźni zostawiła. Wystawiano rozum jako straszydło groźne spokojności ziemskiej i niebieskiemu zbawieniu, więc na zaklęcie widma tego dawano podania (tradycye) jak amulety. Baśniami przeszłości i ślepą w nie wiarą zbijano ścisłość logiczną i rozumowania, to jedyne i najpewniejsze objawienie boga do ludzi. Kazano naturze ducha, naturze rozsądku przeistaczać się według natury podawanych historyjek, jak się ciało zmienia według pokarmu. Odjąwszy śmiałość zastanawiania się i wątpienia, śmiałość jaką zalecał Chrystus: „dochodźcie wszystkiego a zatrzymujcie co dobre,“ ładowano w głowy dowolne twierdzenia i wiadomości. Ta mniemana uczoność, do niczego nieprzydatna, wzbijała w próżną dumę, zaślepiała i utwierdzała w upornem obstawaniu przy ślepocie. W ten sposób odrywano na nowo naukę od życia, gdzie ją Rej wszczepiał i robiono z literatury dumnego bałwana, rozpierającego się w księżnicach, pożerającego mózgi swoich łacińskich skrybentów i chwalącego od czasu do czasu kłaniających mu się poganów. W skutek tak przewrotnych usiłowań, dopinanych wytrwale i możnemi środkami, przyćmiono u nas oświatę zaraz w początkach jej świtania; zgęszczały się tumany ciemności, nastał wiek pokłonów, chwalstwa, panygirykow. Mamy w nim przykład najlepszy, że jak satyra życie drażni i rozbudza, tak pochlebstwa rozgnuśniają i ubezpieczają w zarozumiałości.

(Dokończenie nastąpi.)

Hymn wychodźców z Egyptu.

Melodia hebrajska.

1. Spiewał tedy Mojżesz i synowie izraelscy tę pieśń panu.
Exod. Roz. XV.

Chwalmy pana, bo wielkim jest Bóg Izraela,
Lew przed nim jako wielbląd pod juką uklęka,
U stóp jego grom chyży płazem się rozściela,
A straszny jest gniew jego, potężna ta ręka,
Co rzuciła plag dziesięć na nieprzyjaciela.

Farao nam bez plewy robić kazał cegły
I lud głodem morzony poprzyganiał biczem,
A stosy naszych trupów pustynie zaległy;
Lecz my panie za twojem szukali obliczem
I hymny naszych jęków do twych uszu zbiegły.

I położył swe oko pan na lud cierpiący,
I otworzył swe ucho na boleści głosy,
I przyszedł do Egyptu jako wiatr gorący,
Gdzie powiał, syny pychy padały jak kłosy,
A dla nas był łagodny jak rosa chłodzący.

I zatwardził pan w gniewie serce Faraona,
Zdjąć nie chciał z Izraela okowy poddańcze,
To pan pierworodnego zabił mu u łona,
Na lud rzucił zarazę, na pola szarańczę,
Zgasił słońce, że kraj był jak ciemnia sklepiona.

I przywiódł Izraela nad czerwone morze,
A za nami brzęczały pogoni oręże,
A pan rzekł: „Przez te wody drogę wam otworzę,
A jak ołów potoną ich wozy i męże“
I oto tak się stało, jak mówiłeś boże.

Chwalmy pana, przed nami on zstępuje przodem,
W nocy słupem ognistym, a we dnie obłokiem
Do ziemi obiecanej dójdzie z swym narodem,
A znużone nam dusze pokrzepi widokiem
Kraju wiosny, co płynie i mlekiem i miodem.

Kornel Ujejski.

SZPICRUT HONOROWY.

Obrazek z życia przez Józefa Dzierzkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Aby zrozumieć powiedzenie diaka, które taką ciekawość wzbudziło w Maćku Ryzunie, wypada nam przenieść się do pałacu w Krzewińcach, który po dwuletniem opuszczeniu od niedawna znowu zamieszkały, wzbudzał w rzeczy samej niemało ciekawości w okolicy. Kto bowiem tylko w dzień przejeżdżał przez Krze-

wińce, niemało głowy nakiwał i nałamał sobie, widząc szczególną cichość i osamotnienie pałacu. Jak gdyby wszystko w pałacu umarło, taka panowała cisza głucha; wszystkie drzwi i okna szczelnie pozamykane zdawały się świadczyć o zupełnem niezamieszkaniu. Dwie tylko galonowane widety stały nieruchomie przy dwoch bramach zajezdnych pałacu, którzy zdawali się pilnować tego jakby czasem jakiego w milczenie zaklętego gmachu. Byłato przezorność bardzo potrzebna. Trafiło się bowiem kilka razy, że dobrze znajomi rodziny Gniazdowskich wieścią o tej dziennej nieruchomości pałacu poruszeni, zapędzili się ku bramom pałacowym; lecz widety galonowane zaskoczyli im drogę i zwracali nazad krótkiemi słowy: „Państwo spi!“ Za to ktokolwiek w nocnej dobie przejeżdżał przez Krzewińce, uderzał go widok pałacu oświeconego rzęsiście jakby na bal, lub raczej na pogrzebną wystawę, bo ta sama prawie w środku panowała w nocy jak i w dzień cisza, rzadko przerywana głosem muzyki jakiejś grającej zda się po pustym gmachu. I przez całą choćby najdłuższą noc, pałac łyszczał jasno gorejącem światłem, co mu wpośród ciemności i ciszy nocnej nadawało jakiś szczególny pozór fantastyczności. Byli ciekawi sąsiedzi, którzy nieuważając na ciemną noc, przez dziury i bajury pędzili do zaczarowanego pałacu krzewinieckiego. Ale nieruchome widety galonowe stały u bram obydwoch, i nisko kłaniając się przejeżdżającym odprawiali ich krótkiemi słowy: „Niema państwa w domu.“ Rozmaite krążyły po okolicy domysły i o pałacu i o jego mieszkańcach; oczywiście najdziwaczniejsze i najsprzeczniejsze, ale mimo piekącej wszystkich ciekawości, nikt nie mógł znaleść prawdziwego słowa zagadki.

— „To modna żałoba!“ powiedział któryś z parafianów okolicznych, i trafił choć nie w prawdę może, ale przynajmniej w przekonanie większości.

Trzeba bowiem wiedzieć dla zrozumienia tego konceptu, że w pałacu krzewinieckim mieszkali prawie od roku sami tylko młodzi Gniazdowscy, to jest pan Alfred i panna Izabela. Starzy Gniazdowscy pomarli wkrótce po owych smutno zakończonych zaręczynach, niekoniecznie jednakże w skutek wynikłej ztąd zgryzoty. Po śmierci rodziców niedługo już mieszkali Alfred i Izabela w stolicy, która im obmierzła w skutek awantury szpicrutowej i nieudałych zaręczyn. Jakoż gdy i ten i owa coś napomknęli o tych dwoch nieszczęsnych wydarzeniach, wprawdzie po przyjacielsku ale zawsze z przyciskiem; a mianowicie po śmierci starych Gniazdowskich, gdy pokazało się, że stan majątkowy był bardzo smutny, bo były wprawdzie dobra znaczne, ale też i długi były ogromne, nie wypadało i niemiło było zostać w stolicy. Zdecydowali się zatem wyruszyć do Krzewiniec, myśląc, że zdołają skąpem życiem na wsi poprawić zagmatwania majątkowe. Oczywiście bowiem ani chcieli temu wierzyć, że cały ich byt pozorny spoczywał w sprycie adwokatów. Oni myśleli, że to tylko przechodząca kryzys, z której w końcu pan zawsze panem wyjdzie na wierzch, a wierzyciele jeżeli w dół spadną, to mniejsza o tych chudeuszów głupich. Do przyczyn wyjazdu pana Alfreda i panny Izabeli do Krzewiniec, gdzie postanowili razem mieszkać, dodać należy jeszcze tę najważniejszą, że się nie cierpieli oboje nad wszelki wyraz. Hrabianka nie mogła darować bratu tej podwójnej krzywdy, że nie poszła za mąż i że tylko co nie poszła za takiego niegodziwca, jakim był oczywiście w jej oczach nasz bohatyr. Hrabia nie mógł darować siostrze, że jej złośliwym głównie podszeptom przypisać należało pierwszą Kazimirzowi wyrządzoną krzywdę. Nienawidzili się nareszcie dla tego właśnie, że oboje obdarzeni złośliwością niemającą się gdzie rozejść na rozmaite przedmioty, radzi byli i doskonale umieli złośliwości tej próbować na sobie, jako na najbliższych i najczęściej ścierających się między sobą osobach. I czyliż można lepiej wywrzeć nienawiść swoją, jak w wspólnem pomieszkaniu na wsi, w samotności, gdzie zdybując się codzień, co chwila, można się codzień i co chwila dręczyć temi wszystkiemi domowemi ugryzkami zgrabnie osłonionemi, temi kłuciami szpilkowemi z uśmiechem na ustach i grzecznością w mowie. Jak postanowili tak zrobili, i rozpoczęli od roku to ciekawe i samotne życie w Krzewińcach, którego nocne pojawy wzbudziły ciekawość wędrującego Maćka, a które by poznać bliżej, udamy się teraz, gdy wszyscy już na wsi usypiają, do pałacu krzewinieckiego.

Ruch tymczasem wzmagał się w pałacu krzewinieckim, ruch to był codziennego życia hrabiego i hrabianki, które codzień było jedne i niezmienne. Jakoż aby je zrozumieć, udajmy się najprzód do skrzydła zamieszkałego przez hrabiego Alfreda.

W dosyć wielkim saloniku na samym środku stało wielkie krzesło poręczowe, a na nim hrabia Alfred w tyftykowym szlafroku, w micy pąsowej nakształt fecu tureckiego, pantoflach bogato haftowanych, z długim cybuchem w ustach. Hrabia Alfred był nadzwyczajnie zmieniony. Z chudego i kościstego młodzieńca zrobił się tłusty i podsadkowaty jegomość; lecz ta otyłość nie była dowodem zdrowia; przeciwnie żółta i nalana cera twarzy przy zapadłych i zagasłych oczach, przy wiszących policzkach i wywróconych wargach świadczyły, że to była otyłość chorowita i napuchła. W jednej ręce trzymał hrabia Alfred zwit papierów, którym to machał po powietrzu, to w takt uderzał o stojący przed nim pulpit z nutami. Bo naprzeciw niego popod ścianę w rząd ustawionych stało z piętnastu ludzi z rozmaitemi instrumentami muzycznemi, tworzącemi razem kapelę dworską. Patrząc na twarze wszystkie i na ubiory dosyć skąpe a nawet mocno zaniedbane, składające się po połowie z płóciennych szarawarów i ruskich

butów chłopskich, a po połowie z kurtek niby kozackich, poznać można było od razu, że się ta kapela cała składała z wieśniaków krzewinieckich, których hrabia Alfred wielki miłośnik muzyki, sam kształcił na muzykantów. Podobało się panu hrabiemu mieć nadworną kapelę, więc zwoławszy gromadę, wybrał sobie po swem widzimisiu najpokorniejszych, i rozdawszy między nich flotrewersy, trąby, pikoliny, skrzypce, żele i bębny, naznaczył każdemu instrument, na którym musiał się kształcić i musiał się nauczyć. Kapelmistrzem do tej zaimprowizowanej kapeli wybrał sobie jakiegoś wędrującego muzyka, mającego trochę talentu i mającego prócz tego na znak swojej nad kapelą władzy wielką i zawiesistą nahajkę, którą wedle potrzeby i rozkazów codzień ćwiczeniu muzycznemu obecnego pana, wlewał w muzykantów talent, ochotę i postępy muzyczne. Owoż takie ćwiczenie odbywa się codzień trzy razy; przed śniadaniem, po obiedzie i przed spaniem, to jest wedle podziału czasu w Krzewincach, wieczór, po północy i nadedniem.

Prócz zamiłowania muzykalnego, które pan Alfred objawia rozmaitemi ruchami rąk i nóg, niecierpliwiącemi się krzykami i telegraficznemi znakami, które dalej pan kapelmistrz telegrafuje nahajką, — do głównych przyczyn tej przez rok już prawie cały ciągnącej się zabawki muzykalnej, należała jeszcze odraza od wszelkiej muzyki panny Izabeli, która twierdziła, że jej nerwy spazmatycznym napadom podległe, nie mogą znieść hałasu tego całego, powtarzającego się przez całą noc prawie. Toteż hrabia Alfred rad z tej dowcipnej złośliwości swego wymysłu, wybierał zwykle najgłośniejsze i najwrzaskliwsze utwory muzyczne, których huk przeraźliwy był prawdziwą męczarnią uszów. A nawet często po obiedzie próby odbywał hrabia Alfred w głównym salonie i najgrzeczniejszemi słowy kazał siostrze podziwiać postępy tych, jak się wyrażał mudiów.

Dzisiaj wypadł pan Alfred z pokoju sypialnego w gorszym niż kiedykolwiek humorze, i snać naumyślnie kazał odgrywać przed sobą najgłośniejszy i najtrudniejszy razem utwor jakiś nowszy, który oczywiście szedł szkaradnie, bo biedni muzykanci nie umieli sobie dać rady z nagromadzonemi w tym utworze trudnościami. Toteż jenerałbas kapelmistrza w ogromnym był ruchu. Na skrzydle szeregu grających stał porządniej nieco ubrany z kozacka, tęgiej budowy, młody człowiek. Rysy twarzy jego były regularne, a co więcej miały w sobie wyraz jakiegoś smutku, nadającego całej twarzy coś szlachetniejszego nad zwykłe wyrazy naszych biednych wieśniaków. W tym smutku zdawała się przebijać myśl jakaś zamknięta w głębi piersi, zaciśnięta konwulsyjnie zawartemi wargami, które czasem tylko zadrgały i wówczas myśl ta wybiegała iskrami oburzenia do wielkich i pełnych oczów niebieskiej barwy: i wówczas spojrzenia jego rzucane na hrabiego Alfreda były okropne, złowrogie. Grał on na skrzypcach, i jakkolwiek nie po mistrzowsku, przyznać trzeba było, że grał najlepiej z pomiędzy kolegów swoich; toteż mimowolnem kiwaniem głowy uradowany oddawał mu tę sprawiewość pan kapelmistrz. Nie tak jednakże sądził sam jasny pan; ciągle bowiem krzywił się i krzyczał na niego.

— „Teodor gra fałszywie!“ krzyknął po raz dziesiąty.

— „Panie Smyczku! uważaj na Teodora!“ zawołał jeszcze niecierpliwiej i ręką skinął znak telegraficzny, nahajce przekazany oczywiście.

Pan Smyczek mimo całej usłużności swojej udał tym razem, że nie dosłyszał słów, czy telegrafu nie zrozumiał; toteż zamiast skrzypców dostała trąba po plecach.

— „Teodor! głowa do góry!“ wrzasnął znowu pan hrabia.

— „Panie Smyczku, uważaj przecie aspan! bardzo proszę“ i nowy jeszcze jaśniejszy skinął mu telegraf.

Pan Smyczek wypełnił tym razem jedną tylko połowę zlecenia i powtórzył groźnie:

— „Teodor! głowa do góry!“

Teodor nie podnosił głowy; może i naumyślnie; po prawdzie nie mógł jej bardzo podnosić grając na skrzypcach.

— „Uparty łotrze!“ wrzasnął przeraźliwie pan Alfred i skoczywszy z krzesła, wyciągnął cybuch jakby dzidę i pomknął z nią wprost ku skrzypkowi. Gdyby był się z twarzą nie umknął, byłby oko postradał, tak doskonale dzida cybuchowa była wycelowana. I tak mocny był impet pana hrabiego, że nie mogąc razu wymierzonego wstrzymać, uciął cybuchem tak silnie o ścianę, że się aż bursztyn w tysiące rozleciał kawałków. Mimowolny uśmiech szyderczy wystąpił na wszystkich twarzach, nawet pan Smyczek musiał sobie przez dyplomatyczną przezorność zakryć usta nahajką.

— „Łotry!“ pisnął hrabia w najwyższej wściekłości. „Przez trzy dni o chlebie i o wodzie.... a Teodor w dyby! Panie Smyczek, dziękuję aspanu za piękny porządek; odwdzięczę się aspanu przy porachunku.“

I wybiegł hrabia Alfred ogromnie zapyrzony.

W drugiej oficynie panowała także burza. Hrabianka Izabela w wielkim czypcu nocnym i w pudermantlu dosyć brudnym, co dowodziło oczywistą już jej rezygnacyą, biegała pomiędzy kilkanaście krosien rozstawionych we dwa rzędy wzdłuż podłużnego saloniku. Przy krosnach tych siedziały dziewczęta widocznie ze wsi wzięte i podobnie muzykantom hrabiego Alfreda poprzebierane, skąpo, brudno i obdarto, z chłopska po dworsku. Biedne dziewczęta wyglądały wszystkie smutne, blade i wychudzone okropnie, ciągłe siedzenie w powietrzu zamkniętem odebrało im wszelką barwę zdrowia; tęsknota za domem, praca nieustanna pokry-

ła ich twarze żółtą i chorowitą bladością; a oczy zaczerwienione świadczyły, że niewesołe było ich życie. Panna hrabianka rozmiłowała się nagle w haftach, których nieskończone już składy miała wyrabiane we łzach i westchnieniach przez te wiejskie dziewczęta. I codzień zerwawszy się z łóżka, wybiegła hrabianka i robiła przegląd, czy wszystkie wydane wczoraj roboty są już ukończone, a że zwykle nie mogły być jeszcze ukończone, musiały biedaczki kończyć przy grajcarowych ciemno świecących łojówkach, tak że zwykle ledwie po parę godzin przespać się mogły. Ten przegląd codzienny był męczarnią okropną dla robotnic, bo hrabianka nigdy całkiem zadowolona nie była, więc następowały codziennie parogodzinne terkotania i łajania bez końca i gęste szturkania z całą szczerością rozdawane. I aby się choć cokolwiek wywdzięczyć za muzykę braterską, po obiedzie zwykle przynosiła hrabianka do salonu mnóstwo takich haftów, które jeden po drugim nudnie i rozwlekle pokazywała panu Alfredowi, i oczywiście bawiła go przytem mnogiemi dysertacyami o wzorkach rozmaitych i talentach swoich haftarek. Pan Alfred wściekał się wewnętrznie, ale słuchał jednakże z całą przyzwoitością i powagą najlepiej zachowaną. Zabawne ztąd nieraz bywały sceny. Na rozkaz hrabiego kapela grała zagłuszające dysonancye, a przez ten czas hrabianka otaczała hrabiego Alfreda wieńcem haftów i obsypywała go stu wzorkami i rysunkowemi i haftowanemi. To były przyjacielskie zabawki kochającego się rodzeństwa.

I hrabianka była tym razem w fatalnym humorze. Terkotanie było podwojone, łajania szły jak po wodzie, a szturkańce i kuksy sypały się jak gradem na biedne dziewczęta. Największą część krzyków i bicia dostawała dziewczyna siedząca na rogu, najprzystojniejsza ze wszystkich i zdrowiej od wszystkich wyglądająca; byłato w rzeczy samej najlepsza z haftarek panny hrabianki, ale tym razem inaczej się wydawało jasnej pani.

— „Ten kwiat jest krzywy, ta gałązka większa!“ krzyczała hrabianka.

Dziewczynka nic nie odpowiadała.

— „Cożto za ściegi? czy widzisz, grube okropnie!“

Dziewczyna milczała i robiła dalej.

— „Czemu milczysz małpo, kiedy gadam do ciebie!“

— „Coż pani każe?“

— „Pani! Czy nie wiesz małpo żem hrabina!“

— „Co pani hrabina każe?“

— „Czemu nie odpowiadasz, czemu ócz nie podniesiesz?“

I silny szturkaniec w brodę dany podniósł zgrabnie twarz dziewczyny.

— „Coż pani hrabina każe odpowiedzieć?“

— „Czy to dzierganiem u ciebie małpo?“

— „A dzierganie....“

— „Jeszcze odpowiadasz“ pisnęła hrabianka pełna złości „A wy małpy czemu rozdziawiacie gęby, poczekajcie dzisiaj pościć będziecie, a Helena przez trzy dni siedzić będzie o głodzie.“

I wyleciała w szalonym gniewie aż furknął pudermantel.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wspomnienie pośmiertne.

Z Krakowa. Znany młody literat Władysław Wężyk przeniósł się 15 lutego r. b. do wieczności w Brzozowie na Szlązku pruskim w 32. roku życia. Pełen zapału, najlepszych chęci i pracowitości, po kilkuletnim pobycie w Krakowie osiadł w Szlązku pruskim pod Pleszowem, we wsi Brzozowie, zajęty jedynie i najwięcej pracą około oświecenia ludu polskiego tamtej strony. Powód jego śmierci był następujący: W okolicy gdzie mieszkał wybuchł epidemiczny tyfus, a przy tem nędza i niedostatek u ludu. Wężyk założył u siebie szpital, utrzymywał doktora dla chorych, potrzebnym niósł wszelką pomoc. Wyjechał do miasta sankami. W powrocie do domu spostrzega leżącego umarłego. Bierze go na sanki, przywozi do domu i sam się zajmuje wskrzeszeniem przeziębłego. Nie przyszedł do życia znaleziony; ale od niego udziela się tyfus Wężykowi, na którę chorobę w tygodniu umiera.

Komitet wspierania ubogich, istniejący w Pleszowie, następne umieścił o nim słowa w gazecie wrocławskiej: „Dwa wieńce laurowe zdobią go, jeden jego głowę (jako pisarza) a drugi serce.... Umarł jako prawdziwy bohatyr z miłości dla ludzi; niósł pociechę i pomoc tym, którzy przyciśnieni potrzebą i nędzą, oka ku ziemi spuszczonego, ręki błagającej nie śmieli podnieść, aby prosić o ratunek. Niósł im ratunek i ratując wstąpił do grobu, dokąd towarzyszyła mu czysta miłość biednej jego braci, którzy w smutku szlą swemu prawdziwemu przyjacielowi i wybawcy ostatnie podziękowanie.“ — Ciało Wężyka złożone jest w Krakowie, dokąd zjechali stary ojciec jego i wdowa! Cześć jego pamięci!

List do redakcyi.

Mości Redaktorze! Do nru 6. dziennika twojego przyjąłeś korespondencyą pana na Leżuchowicach; ten artykuł czytany w kraju, a nawet za granicą, rzuci tak niekorzystne światło na nas mieszkających na wsi, że ja chociaż nienależący do wiernego kółka piórem pracujących, zasiadłem do stolika w celu napisania tych parę słówek, które panie redaktorze przyjąć musisz do swojego pisma, już dla tego, że kto zaskarżenie przyjmuje, ten obrony odrzucić nie może.

Zgorszyłem się niemało, że jakiś pan Leniuchowski, nie autoryzowany przez nikogo, nie wybrany na

sejmiku, wystąpił tu jako posłannik z cechu nas obywateli, gospodarzy, i przyznał się w imieniu naszem do tylu brzydkich i szkodliwych wad, jakoto próżniactwa, wiejskopańskości, somnabulizmu; przyznał się do nałogu jarmarkowania, kart, fajki, wyłącznego amatorstwa pośladków wołowych, wreszcie do gderactwa o niczem, albo o niebieskich migdałach.

Chociaż przyznaję, że się znajdzie dzisiaj jeszcze obywatel obdarzony podobnemi wadami, że są nareszcie i ludzie tak krótkiego wzroku, iż nie znają ceny polskiej książki, ale nawet śmieją się, i z tej nawet, która bądź w zawodzie gospodarczym, bądź naukowym udzielićby mogła tego właśnie, co nam zbywa, a co jednakże dla podniesienia kraju tak materialnie jak umysłowo jest pożyteczne i konieczne.

Chociaż przyznam i to, że są okolice gdzie kwitnie jeszcze rasa tych ludzi, których nie oderwiesz od słomy i sieczki, od kopy i siana, chyba widokiem kieliszka, kart albo brudnej sofy, na której tak miło rozwaliwszy się palić fajkę albo cygaro przy rozprawie o bzdurstwach; to przecież zapewniam ciebie mości redaktorzę, że takie anomaliczne zjawiska sąto już tylko wyjątki; a w obwodzie, w którym mieszkam, są rzadkie jak białe kruki. W imieniu tedy nas, co stanowimy ogół, proszę o sprostowanie zdania o nas wyrzeczonego.*) My albowiem znamy, jaka jest wartość czasu i każdej jego godziny; wiemy, że czas jestto grunt zarówno rozdzielony pomiędzy ludzi, który grunt wedle tego, jak go uprawisz i jakie w nim zasiewasz ziarno taki i plon wydaje; i dla tego wierni zawodowi, jaki nam los przeznaczył, chodzimy pracowicie około gospodarstwa naszego i roli, orzemy, siejemy, zbieramy i młócimy; dopełniwszy tego co pora roku i dnia nam wskazała, w chwilach wolnych od zatrudnień (a mamy ich dosyć) nie rzucamy się na łono próżniactwa, w którem gustuje tylko człowiek zamkniętej głowy a pustego serca; ale szukamy rozrywki takiej, którą człowiek nie ubożeje ale się zbogaca; szukamy rozrywki w czytaniu pism naszych krajowych i książek polskich; z tych, te co są tanie nabywamy, każdy zosobna; droższe, przychodzące do nas z Wilna, kupujemy wspólnie.

Bierzemy także do ręki przychodzący do nas raz w tygodniu twój dziennik mości redaktorze, i trzymamy tygodnik rolniczy i bibliotekę Ossolińskich; czytając bawimy się, jak przystało na godność naszą obywatelską — cicho, przyjemnie i z korzyścią, a orzeźwia się nasza myśl, umysł się podnosi i zbogaca, w koło naszych wiadomości, wąsko określonych, wchodzi tyle nowych rzeczy, wynalazków i myśli, że kiedy morfeusz przytuli nasze powieki na skrzydłach sennej wyobraźni, wylatujemy w kraj słodkich marzeń.

Ale nie myśl mości redaktorze, że ciekawość nasza ogranicza się na poznaniu tego tylko, co w naszym kraju się pojawia; owszem rzadki taki dom w naszym obwodzie, w którymbyś nie widział na stole leżący który tom Biblioteki warszawskiej, Przeglądu naukowego, Rocznika gospodarskiego, Dzwonu, Atheneum, Rubona itp. *) Z tych pism odbieramy wiadomości o każdem nowem ważniejszem dziele; dowiadujemy się o stanie literatury naszej ogólnej, bo nie myśl mości redaktorze, że chociaż jako dobrzy gospodarze myślimy o podniesieniu dochodu naszego, i rozwijanie się naszej literatury także nas obchodzi i umiemy podzielić się czasem i zajęciem tak, że nie robiąc uszczerbku ekonomii, jesteśmy i literatami biernemi, to jest: wspieramy pismiennictwo, abonując się na pisma, kupując książki, okazując wreszcie współudział i wdzięczność braciom pracującym na polu nauki i literatury.

Z tego com ci wymienił uznasz mości redaktorze, że robimy tyle, na wiele nas stać; byłoby niesprawiedliwością wymagać od nas jeszcze więcej, i żądać naprzykład, ażebyśmy twoje pismo artykułami zbogacali.

---

*) Nigdy ani redakcyi ani jej korespondentom nie przyszło na myśl rzucać anatema na wszystkich obywateli wiejskich. Pismo to mające dążność społeczną, wykazywać ma wady społeczne, nie w chęci potępiania zupełnego tych nawet, którzy tym wadom ulegają, ale w szczerej chęci wyleczenia ich z tej wady dla dobra spólnego. Jeżeliby czasem dotknęło wady wspólnej wielom, czyż przeto mogą czuć się wszyscy urażeni? Taka solidarność zrobiłaby niepodobną wszelką poprawę, gdyż wtedy zła mniejszość skryje się wygodnie za większość dobrą. (p. r.)

*) Jużto przebaczysz szanowny korespondencie, że co do tego okażemy ci niejaką wątpliwość. Daty statystyczne rozchodzących się po kraju pism inaczej świadczą. Żadnego z pism polskich wydawanych w innych prowinciach nie rozchodzi się więcej nad trzydzieści egzemplarzy w kraju. Niektórych i dziesięciu egzemplarzy niema w Galicyi, a Tygodnika petersburskiego jest tylko jeden egzemplarz. Gdyby więc wszystkie egzemplarze przypadły na jeden obwód bocheński, jeszczeby i dziesiątej części domów szlacheckich w tym obwodzie nie zajęły. Prawda, że Galicia z przeszło pięciomilionową ludnością, dwoma teraz uniwersytetami i czteroma lyceami, mogłaby stanąć na czele polskiej literatury i oświaty. Ale cóż, kiedy nam dwoch rzeczy brakuje. Najpierw bardzo mało jest koło czytających. A więc powtóre mało jest piszących, ponieważ tylko z wielkiej liczby czytających i większa liczba piszących powstać może. Każdy przyszłość kraju na celu mający, powinien u nas o to starać się, aby czytanie dzieł i pism jak najwięcej rozszerzyć, bo u nas literatura jest wszystkiem. Tymczasem niewielka musi być u nas liczba podobnie myślących, kiedy obecnie pismo Biblioteki Ossolińskich niema spełna pięćdziesięciu abonujących. A przecie jestto jedno z najlepszych pism czasowych. A chociażby i nie było niem, skoro chodzi o sprawę narodową, każdy obywatel powinien ponieść chętnie tę ofiarę tak małą. (p. r.)

Tego się nie spodziewaj od nas, my zaledwie zdołamy napisać list w interesie gospodarskim albo w potrzebie do adwokata. Nie uczono nas stylu ani gramatyki w szkole, nie nauczyli nas tego rodzice nasi, bo jedni może nie umieli, drudzy lekce to ważyli. Ale jeżeli twój dziennik mód mości redaktorze, który abonujemy już siódmy rok, pociągnie swoję egzystencią jeszcze jakie lat szesnaście, ile naszych synów tyle będziesz miał współpracowników do pisma, bo dzisiaj tak my jak i nasze żony zajmujemy się starannie nauczeniem dzieci naszych dobrego pisania w języku polskim. A gdy i córki nasze wyprowadzamy z zamiłowania francuskich romansów, mogę cię zapewnić, że i abonentek liczba znacznie się pomnoży, kiedy córeczki nasze, te kwiatki dzisiaj w pączek jeszcze zwinięte, rozwiną się do pełnej krasy i serca pełnego miłości.

P.... z Bocheńskiego.

Korespondencya.

Z Wrocławia. Pan Saski daje tutaj odczyty publiczne „Über das Schulwesen in Pohlen."

Z Berlina. W tutejszej „*Zeitungshalle*" jest 560 pism czasowych, z tych 240 samych politycznych we wszystkich językach. Lokal składa się z 16 pokoi. Są urzędnicy zakładu, których obowiązkiem jest rano odczytać gazety i ołówkiem nakreślić co jest ciekawszego.

Z Poznania. „Przyjaciel Ludu" pod redakcyą Szymańskiego jest pismem samych księży. Niema proboszcza, niema wikarego w poznańskiem, któryby nie trzymał prócz pisma „Kościoła i szkoły" także i „Przyjaciela ludu." (Kiedyż to u nas w Galicyi się upowszechni!)

Z Warszawy. Wszystkie wasze pisma galicyjskie są dla nas *terra incognita*. Nie wolno ich tu trzymać. (?)

Z Krakowa. U nas w Krakowie ciszę literacką przerywa z rzadka pojawienie się jakiej poważnej książki, bo gdy nie mamy czasowego pisma, nic przeto z lżejszych płodów wylęgnąć się nie może.

Zacznę od siebie: Wydałem obecnie 7. i 8. poszyt Starożytności Krakowa. 7. zawiera rzecz o malarstwie w Polsce i o obrazach Suesa z Norymbergi, dochowanych w Krakowie z kopią jednego z tychże obrazów; w 8. zaś mówiąc o Stachowiczu, umieściłem wykaz jego robót, o ile można najzupełniejszy, a rycina przedstawia pomnik Klemensa Wontrobki, kasztelana sędomirskiego, zabytek z roku 1400. Obecnie przygotowuję do druku dalsze poszyty Starożytności i zajmuję się wydaniem popiersia Edmunda Wasilewskiego, a to w celu wystawienia pomnika temu krakowskiemu wieszczowi za pieniądze, które za tęż rycinkę zebrać mi się uda. Oddawna zapowiedziany 8. tom Wiszniewskiego Literatury polskiej dotąd się jeszcze z drukarni nie wyzwolił. Obecnie wyszedł z druku: „Rys pismiennictwa polskiego" Łukaszewicza Lesława, poprawiony i do ostatnich czasów dociągnięty, przez W. K., lecz wydania tego za lepsze od poprzednich uważać nie można. Grabowski wydał: „Źwierciadło Reja" z popiersiem tego poety; a obecnie drukują jego: „Bramy, baszty i mury otaczające stary Kraków" z piękną ryciną tych zabytków miasta naszego. J. L.

Z Krakowa. Po zmarłym w roku przeszłym malarzu Głowackim jest galeria obcych mistrzów i własnych robot na sprzedaż. (Spis przejrzyć można w redakcyi dziennika.)

Od redakcyi.

Panu M. G. Wiersz „Pokrzepienie" nie mógł być drukowany.

Panu N. N., który przyniósł odpowiedź na ostatni list do redakcyi w nrze 8. kwadratem podpisany i na formie tego kwadratu całą odpowiedź swą osnuł. Redakcya umieści chętnie każdy artykuł odpowiadający wprost na dążność tego listu, w którym powstawano głownie na zagnieżdżoną u nas wadę dowcipowania płaskiego i bawienia się temi dowcipami, zamiast zajmowania się książką lub czemś pożytecznem, jakoteż przeciw wyśmiewaniu i robieniu karykatur z ludzi oddających się nauce i odwracaniu przez to młodzieży od nauki. Odpowiedź pana N. N. nietylko że była niezgrabna, lecz tych punktów nie dotknęła zupełnie, podsunąwszy temu listowi tendencyą, której tam nie było.

Z tychże samych powodów i odpowiedzi pana M. B. A. na tenże sam list kwadratem podpisany redakcya do swego pisma nie przyjęła.

Odpowiedź trzecia pana K. L. nie mogła być drukowana.

Odpowiedź czwartą Bogumiła Prawdomownickiego nadesłaną z Halicza redakcya umieści jako dokument historyczny, z jakiegoto stanowiska zapatrują się jeszcze niektórzy na życie dzisiejsze, na klasy średnie i niższe i na literaturę dzisiejszą. Wprzód zaś prosimy autora tej odpowiedzi o wymienienie swego prawdziwego nazwiska, aby całą odpowiedzialność tych zdań sam mógł wziąć na siebie. Nie chcielibyśmy, aby te zdania składać na szlachtę całą, w której imieniu autor przemawia, a której większość przeważna zupełnie innych jest przekonań.

Wydawca TOMASZ KULCZYCKI. DRUKIEM PIOTRA PILLERA.